№ 5. 2. Lutego 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: „Przedpłata na Tygodnik lwowski."

STUDENCI.

(Ciąg dalszy.)

II.

Wakacje.

Do ścisłej przyjaźni z Jasiem przyczyniało się jeszcze i to, że dla mego upodabania wiele p. ekonom Jasiowi pozwalał, o coby on ani prosić nie śmiał; ja też pojąłem rolę moją i prawie na każdą wyprawę moją — czy to na polowanie czy na połów ryb, czy na jakiekolwiek inne, wypraszałem sobie Jasia za towarzysza. Jaś zato wszystko dla mnie czynił, każdy moj kaprys zaspokajał, chociaż nieomieszkał nieraz, ku wielkiemu zawstydzeniu mojemu w najdelikatniejszy sposób zganić jaką niestosowność lub nieprzyzwoitość. Pomimo wszelkiej uległości i uniżoności Jasia dla mnie, było w jego naturze coś, co mnie przejmowało pewną czcią dla niego.

Ja uważałem że on nie tyle z upodobania brał udział we wszystkich moich rozrywkach, ile dla tego, aby sobie moją przyjaźń zaskarbić. Jasio miał ten dar w swoim znalezieniu się, że ja z każdego kroku jego jakąś naukę czerpałem. Przez obcowanie z nim nauczyłem się wstydzić płaczliwości, wpadania w gniew, rożnych kaprysów, słowem zacząłem się starać o to, aby w całem postępowaniu porzucić pozór dziecinności i przybrać pozór męzkiej powagi.

Zrazu pokładałem tę męzką powagę wtém, aby mówić powoli, z zastanowieniem, — rozumie się także trochę grubszym głosem, niż był mój naturalny — pożniej przestałem się zajmować dziecinnemi zabawkami, jakoto: batogami prętami i p. nareszcie i wcałem zachowaniu stałem się poważniejszy, a co sobie szczególnie ceniłem, pożniej nauczyłem się poznawać sam różne błędy moje, i poddawać się naganom lub karom spotykającym mię za nie, jako rzeczom, które ze zrządzenia bożego być powinny, — nawet nabrałem ochoty do nauk.

To, czego w domowem wychowaniu moim brakowało, zostało uzupełnione po części przez obcowanie z Jasiem.

Prawda, że jemu brakowało owej ogłady i łatwości w obcowaniu, którą tylko w towarzystwie ludzi tak zwanego wielkiego świata nabyć można; w tem ja miałem wyższość nad nim pomimo tego, żem się uważał sam za urodzonego gbura, i Jasio to bardzo czuł i umiał ocenić — jednak jego dojrzałość i wytrawna oświata miała większy wpływ na mnie, niż moja cywilizacja i *savoir faire* na niego. Nawet nabyłem był od niego na jakiś czas pewnej sztywności i tworżliwości w powierzchownem zachowaniu się; a przytem niektórych zwyczajów i wyrażeń, które, jak się moja matka wyrażała, trąciły piekarnią lub djakiem.

Tak wychowywałem się podczas wakacji w domu.

Przez przeciąg kilku lat nie zauważyłem prócz wspomionych odmian, żadnych innych znacznych ani w sobie, ani w rodzeństwie, ani też w moich przyjaciołach.

Jednakże gdyśmy wszyscy mniej więcej stanęli między piętnastym a siedmnastym rokiem życia, odznaczyły się jedne wakacje nagłą i zupełną zmianą nietylko w naszych naturach, ale i w naszem pożyciu domowém.

Były to wakacje bardzo wesołe. U nas w domu oprócz siostr czterech, z których najmłodsza miała lat trzynaście a najstarsza była w ośmnastym, oprócz starej pani de la Laiterie, bawiły dwie inne damy.

Jedna była do pomocy pani de la Laiterie, która już będąc bardzo w wieku, używała spokoju i tylko

nadzór miała nad moralną stroną wychowania. Była to młoda wdowa, którą nazwiemy Lonicerą, przeznaczona do tego, aby siostry moje przy niej się nauczyły gospodarstwa domowego i ogrodowego. Pani Lonicera uczyła tej materji bardzo umiejętnie, wykładała siostrom historję naturalną, chemję, fizykę, a mając sobie poruczony najwyższy zarząd gospodarstwa domowego, pokazywała im praktycznie zastosowanie tych teorji w życiu codzienném.

Rodzice moi bardzo wysoko panią Lonicerę cenili, i często słyszałem z ich ust zdanie, że to jest nieoszacowana osoba. Siostry ją lubiły, i znalazły w niej przyjaciołkę, a przytem uczyły się gotować i innych gospodarczych domowych zatrudnień z największą przyjemnością i powabem. Dla mnie pani Lonicera była przed dwoma laty, a nawet przed rokiem jeszcze niczém inném, jak tylko „*belferką*“, ale przynajmniej jedną z najlepszych: bo przecież zarząd spiżarnią i kuchnią, był wielką dla niej zaletą w moich oczach. Dla tego też zawsze się starałem o jej względy.

Już tych wakacji uczęszczałem chętnie na lekcje pani Lonicery, ktore się odbywały najczęściej w ogrodzie, a niektóre, jak np. lekcje astronomji w poźnych godzinach wieczornych.

Były to więcej przyjemne zabawy niż lekcje, w których cała młodzież naszego domu miewała udział; ja uprosiłem nawet tę łaskę dla Jasia, że i jemu wolno było przy tych lekcjach bywać.

Siadywaliśmy zwykle przy świetle księżyca w tak zwawej rotundzie. Była to rotunda wnaszym ogrodzie uformowana z drzew topolowych, w koło stały ławki, jednakże koło było tak wielkie, że w jednym małym segmencie tegoż całe nasze towarzystwo mieścić się mogło.

Dla tego łatwo było podzielić się w tej rotundzie na kilka grup zupełnie od siebie odosobnionych. Tak się też zwykle działo.

Zrazu całe towarzystwo siadywało razem, potém zaś podzielało się tak, iż przy pani Lonicerze zostawałem ja z siostrami młodszemi i Jasio; ze starszych zaś sióstr moich jedna, Zosia, przechadzała się w towarzystwie kuzyny naszej, panny Ludgardy i pana Achille, którego, niewiedziałem dla czego, nazywano po francuzku chociaż był Polakiem, po przed nas, stając często aby słuchać pani Lonicery a potem robić swoje postrzeżenia astronomiczne.

Druga siostra moja, Tecia w towarzystwie panny Debora Right, młodej Angielki, Józia i pana Maurycego, którzy wszyscy znali Astronomję lepiej niż p. Lonicera, siadywali opodal od nas, i odbywali osobne wykłady, w których panna Debora walczyła z Józiem o palmę nauki. Tam się toczyła rozmowa pół po angielsku, pół po francuzku, tak że ja nic prawie z niej nierozumiałem. Tém chętniej zostawałem przy kółku pani Lonicery, dla której coraz więcej uczuwałem poważania.

Zachwycało mnie to, że pani Lonicera otwarcie stanowiła opozycję ze wszystkiemi domowemi co do zdania o Józiu; ona go nazywała młodym pedantem, połuczonym i zarozumiałym, ganiła jego niewieścią czułość i chorobliwą drażliwość, znajdywała, iż jest przesadny, i często mówiła, że woli chłopca, który stosownie do swojej natury jest trochę swawolny, żywy, wesoły, a przytém skromny i skłonny do zapału, niż takiego jak Józio sentymentalnego flegmatyka. Mówiąc tak, pani Lonicera wyrażała tylko to, co ja uznawałem i myślałem, ale wypowiedzieć nieumiałem i nieśmiałem.

Ztąd też poszło, żem się jej bardzo chętnie dawał powodować, i wiele jej nadskakiwałem, to zrywając rośliny do jej wykładów potrzebne, to łapiąc muszki i chrząszczyki, to zbierając różne kamyki. Wtych posługach pomagała mi często siostra młodsza Zeńcia i Jasio.

Biegaliśmy w zawody po rosie, strząsali chrząszcze zdrzew i łapali siatką motyle lub muszki. Zeńcia zawsze cokolwiek chłopcowata, miała wtém tyle udziału ile przyzwoitość dziewczynie czternastoletniej pozwalała; Jasio przenosił, gdyśmy razem byli, swoją troskliwość całą i usłużnosc na Zeńkę. Gdzie ona poskoczyć lub dojść dla zbytniej wilgoci niemogła, tam zwykle mnie posełała, spoglądając ukosem na Jasia, ja jej najczęściej mojej usługi odmawiałem, i oboje memu lenistwu lub uporowi radzi byli; bo wtedy Jasio miał sposobność, przysłużyć się a Zenia z przymileniem dziękować.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wspomnienia Afryki i Hiszpanii.

(Ustęp z życia.)

(Ciąg dalszy.)

Pan Laurent po spędzeniu dni miodowych obok rodziców żony — zawiózł ją na miejsce swego stałego pobytu, — do Algieru.

Jakieś dziwaczne uczucie dręczyło nowożeńca, ciągły niepokój zamieszkiwał jego serce, podejrzywał bowiem swoją żonę o niestałość; zwykła to zazdrość trapiąca starych mężów mających młode żony.

Do tych udręczeń nastąpiły nowe; — pan Laurent poniosł ogromne straty majątkowe na bankach francuzkich w Marsylii; — jedno połączone z drugiem spowodowało słabość gorączkową, z której więcej nie powstał.

Przy odgłosie salw okrętowych ciało jego zostało złożone na cmentarzu w Algierze. — Pozostała wdowa; najmłodsza na całym swiecie bo 16to letnia — dla ukojenia żalu — nie mówię rozpaczy — udała się na czas żałoby do Kadyksu.

Żal jednak prędko się ukoił — bo miłości nie było. Dla tego też na przyszłość postanowiła kierować się nie wolą rodziców, lecz popędem własnych uczuć, które u niej gorzały jak promienie słońca w puszczy afrykańskiej.

Sprawy majątkowe nieboszczyka męża wymagały niezbędnej obecności pani Laurent w Algierze, a przytem przejażdzka po morzu, widoki malowniczych brzegów Afryki, nie były rzeczą do pogardzenia dla żywej wyobraźni Izabelli, która we wszystkiem lubiła szukać poruszeń serca i umysłu, pragnąc gwałtem wynagrodzić brak tych wzruszeń za życia męża.

Majątek — ruchomości — pozostałe w Algierze należało zpieniężyć, kapitały rozlokowane poodbierać, a złoto, czyste hiszpańskie złoto — zawieść do szkatuły ojca; — oto był powód, jaki tej chwili spowodywał obecność Pani Laurent w Algierze.

Andaluzjanka słynie nadzwyczajną goscinością jeżli uważa że jesteś dobrego wychowania, ujmującej powierzchowności, a pragniesz zrobić znajomość — w przeciągu jedno-godzinnej rozmowy jesteś zaproszonym w domu jej, który — według wyrażenia hiszpańskiego — ofiaruje na twoje usługi. Podobna propozycja u nas zrobiona łatwo domyślać się każe coby znaczyć miała; Andaluzyanka zaś dopełnia nią tylko starożytnej gościnności przodków swoich, którą intryganci zniweczyli w innych krajach Europy. Ofiarując dom swój jest uprzejmą — bez żadnej myśli dwuznacznej. — Biada ci, gdybyś nieprzyzwoitym postępowaniem zawiodł mniemanie, jakie o tobie wzbudzić potrafiłeś. — Zaproszenie przyjąć możesz bez ceremonji; będziesz przyjętym otwarcie. Jeżli jesteś uprzejmym, stajesz się w końcu niezbędnie potrzebnym w domu; — jeżli pozyskasz wzajemność uczuć, stajesz się wtedy *cavaliere servante.*

Ja względem Izabeli niebawem w podobnym zostawałem stosunku, i jednego pięknego wieczora znajdowałem się w jej budoarze — wpośród rozkosznych uniesień, bo w chwili wzajemnego oświadczenia sobie miłości *wiecznej*, w chwili, w której po raz pierwszy wyrzekliśmy poufale swoje imiona i to czarodziejskie słowo „kocham“.

Długo odczarować się nie mogłem, zachwycony widokiem tego ślicznego oblicza pełnego wyrazu, które wówczas zdradzało namiętną grę uczuć. — Jej ręka spoczywała w mej dłoni, jej oko pałało zachwycającym urokiem, twarz naprzemian bladła to się rumieniła — widocznie jakieś uczucie wrzało w jej piersi.

Izabello ty mnie kochasz? powtórz to czarodziejskie słowo, zawołałem.

Izabella spojrzała tylko na mnie okiem pełném ognia, nic nie odpowiedziała, tylko czarujący uśmiech przebiegł jej usta.

Zdało mi się, że po raz pierwszy uczucia miłości zawrzały w sercu — szał opanował zmysły, zapomnieliśmy o reszcie swiata! Wiadomość o przybyciu Staktu parowego „Rapiro“ z Kadyksu do portu algierskiego zastała mnie u Izabelli.

„Wszak popłyniem razem“ zawołała.

„Choćby na koniec swiata piękna Izabello“ odrzekłem, „popłyniemy do pięknej Hiszpanii — poznasz moją ojczyznę moją rodzinę — o tam nas czeka szczęście“ rzekła z tym miluchnym usmiechem zdradzającym jej myśli.

I wsród tych planów, wśród rozkosznych marzeń przeplatanych pieszczotami — postanowiliśmy trzeciego dnia wsiąść na statek, który nas miał zawieść do Kadyksu.

Interesa Izabelli były ułatwione; — ja moje tak urządziłem, że nic mi nie przeszkadzało towarzyszyć donnie Izabelli w podróży do Hiszpanii jako *cavieliere servante.* Na czas wyznaczony byliśmy gotowi do podróży. — Pożegnawszy znajomych i te urocze miejsca, które były swiadkami naszego szczęścia, Izabella, Luisa i ja równo ze wschodem słońca byliśmy na pokładzie statku.

Rapiro pędem strzały puścił się po spokojnej powierzchni morza ku zachodowi; — poséłając ostatnie pożegnania miastu, wkrótce straciliśmy z oczu piękne wybrzeża Afryki; — a ja spieszyłem poznać powabną Hiszpanję, powabniejsze jeszcze Andaluzjanki i cały ten swiat uroczy, którymi zaledwie kiedy w mysli postał.

Nazajutrz mocny upał dopiekał; pod namiotem rozpiętym nad całym pokładem, staliśmy wraz z Izabellą — staliśmy poglądając w stronę zachodu — w stronę jej ojczyzny; — jeszcze przed wieczorem mieliśmy stanąć w Kadyksie.

Niezadługo ujrzeliśmy ziemię. Szybkim pędem zbliżaliśmy się do słupów Herkulesa. Cieśnina ta zdaje się być raczej wielką rzeką, kanałem, z pośrod którego wyraźnie dostrzegać się dają oba brzegi dwu światów, oba sobie podobne, oba skaliste.

Po lewej stronie raz jeszcze ujrzeliśmy brzegi Afryki

skały i zamek wznoszący się po nad Ceutą; po prawej zaś Gibraltar — kształtem swoim podobny do ogromnej głowy cukru. Z każdej strony przedstawia ta twierdza niedostępne skały, ostro wystrzelające w niebo i prostopadle wystające nad morze; — jestto wyspa całkiem prawie oddzielona od lądu, i jakby wpośród morza się wznosząca.

Na wierzchołku tej skały stoi wieża przez Anglików nazwana *signal house*, dla obserwacji przybywających okrętów. — Gibraltar jest bowiem komorą, składem kontrabandy przez Anglików ze stratą Hiszpanji czynionej.

Po przejrzeniu naszych paszportów przez strażników angielskich, *Rapiro* lotem błyskawicy pomknął dalej. — Wzdłuż brzegu Afryki od Ceuty do Tangieru wyraźnie widać domy; w krótce zniknął ten widok z oczu naszych, i ujrzeliśmy znów morze tylko i niebo.

Niebawem pokazał się przepyszny Kadyks, niby wyspa z kości słoniowej na błękitnej przestrzeni horyzontu. — Izabella z radości poskoczyła w górę i ścisnęła mnie za rękę.

„Otóż jesteśmy już w domu — teraz jesteś moim gościem“ zawołała z całą radością.

Za zbliżeniem do portu Izabella była nadzwyczajnie uradowana — nic dziwnego, spieszyła ujrzeć ojca — matkę, brata, lecz że mnie serce skakało w piersi, tego przyczyny nie pojmowałem.

Wysiadłszy na ląd pospieszyliśmy na ulicę toledańską, do domu rodziców Izabelli. Co za radość, — ile uciech na widok córki i siostry! przywitania, pocałunki jak grad padały, a ja tymczasem zapomniany stałem w kącie pokoju, aż Izabella wyrwawszy się z uścisków, poufale chwyciła mnie za rękę i przedstawiała swoim rodzicom jako kuzyna nieboszczyka męża (?).

Przyjmowano mnie z całą uprzejmością i gościnnością właściwą mieszkańcom Andaluzji, która u nich jeszcze objawia się jak najszczerzéj. U nas grzeczność jest sztuką, a często wyrachowaniem; w Hiszpanji jest ona całkiem naturalną, prostą. U nas jest skutkiem wychowanie, tam skutkiem charakteru; w wielu względach jest jednak nieco podobieństwa ze staro-polską gościnnością przodków naszych. Nie pozwolono mi, abym stanął w hotelu, lecz zostać musiałem gościem domu — niejako członkiem familji!

Miałem więc sposobność poznać bliżej całe to grono familijne donny Izabelli.

Don Alejo de Medonza i Detalabera, ojciec Izabelli, około lat 50, postaci małej, zaokrąglonej, na krótkich nogach ciągle w ruchu, ciągle w pocie, człowiek nie zbyt obszernych wiadomości, lecz poczciwy, pracowity i czynny, co to w Hiszpanii jest rzadkim, nieocenionym darem.

Donna Franciszka — matka — średniego wzrostu, chuda; znać jeszcze było szczątki piękności, lecz lat 40 czyniły ją już prawie niedołężną staruszką — Hiszpanki w 12 latach są pełnoletnie, dla tego wcześnie się starzeją.

Don Fernando — brat o dwa lata starszy od siostry, wyborny chłopiec — żywy, wesoły, tylko nieco trudny w dopomaganiu interesom ojca.

Wszyszcy mnie przyjmowali; i nie mało pytań byłoby spadło na moją głowę *o nieboszczyku kuzynie*, szczęściem nieznajomość języka tą razą korzystnie mnie ocaliła.

Nazajutrz Don Fernando uradowany, że miał sobie wyłącznie powierzonego cudzoziemca, pociągnął mnie ze sobą do miasta aby mi pokazać jego osobliwości. — Kadyks nie posiada ich wiele; miasto jest bardzo czyste, ulice i place regularne, domy białe — mało jednak ma charakteru miast hiszpańskich. — Napływ cudzoziemców nadał mu cechy zagranicznej, obyczajów całego świata; narodowość hiszpańska pozostała tylko w ubiorach.

Miasto — prócz położenia — porównać można do Marsylii, Genui, Liworny; jak tam tak i tu, ten sam ruch, to samo życie, ta sama ludność!

Za powrotem czekał nas wyborny obiad, a jeszcze wyborniejsze Xeres; — siadłem obok Izabelli, gdyż mi służyła za tłumacza w odpowiedziach na liczne pytania, któremi bezustannie byłem zarzucany.

Przy częstych wiwatach za pomyślność naszej podróży, zdrowia kolejne całej rodziny, moje i mojej ojczyzny, tajemnicze uściśnienia ręki mej Izabelli, jej słodkie spojrzenia były mi najsmaczniejszym *desserem*.

Po obiedzie, zwyczajem krajowym udano się na spoczynek. — Mocne wina i upał słoneczny czynią go prawie koniecznym dla zniewieściałych mieszkańców południowego klimatu. —

Wieczorem — gdy po upale dziennym odświeży się powietrze, gdy wszyscy czują potrzebę chłodu, udaliśmy się wraz z Izabellą na Almeda, miejsce przechadzki. Jest to plac piękny i obszerny, zasadzony akacjami i kasztanami — niby bastion wznoszący się po nad jednym z najpiękniejszych portów w świecie.

Złote promienie zachodzącego słońca oświecały malownicze brzegi Andaluzyi od *San Lucar* aż do *Puerto - Santa-Maria*. Był to widok wspaniały, sięgający po za morze błękitne jak niebo afrykańskie; widok jakiego pozazdrościłaby najpiękniejsza okolica Europy.

Jestto zwykle chwila, w której gromadzi się miejscowa publiczność. — Mnóstwo kształtnych postaci osłoniętych mantylami, mnóstwo pięknych czarnych oczu, drobnych nóżek, — chwila ta staje się miejscem schadzki wszystkich lubowników cygaretów, wszystkich dam które po upale dziennym czują gwałtowną potrzebę oddychania świeżością wieczornego powietrza.

Szum fali morskich odbijający się o skaliste brzegi, blask księżyca opromieniający piękne lica Andaluzjanek, ruch przechadzających ożywiony rozmowami kochanków, wszystko to ogarniało zmysły, tworzyło miłą harmonją i urzeczy-

wiśniało tej chwili owe błogie złote marzenia, jakie tylko powstać mogą obok aromatycznego dymu hawany, zwłaszcza gdy się ma lat 20 — umysł spokojny i jest się *cavaliere servante* najpowabniejszej Andaluzjanki.

Były to chwile, które dziś jeszcze sprawiają miłą pamiątkę ubiegłej przeszłości — ubiegłej bez powrotu, bo któraż chwila lat młodocianych nie jest nam miłą?

Prowadziłem donnę Izabellę pod rękę z pewną dumą, jaką wywołuje tysiące zazdrosnych spojrzeń, które pożerały jej anielską postać.

Zdawało mi się wtenczas, że mi nic do szczęścia nie brakowało — prócz posiadania Izabelli na wieki.

Ja też z mej strony nie wahałbym się uczynić krok stanowczy u rodziców; — lecz jedna fatalna myśl wstrzymywała mnie od tego, a to, iż wieczne posiadanie Izabelli miało mnie kosztować wieczne rozstanie się z ojczyzną!

Kochanka, żona może doprowadzić do szczytu szczęścia, może sprawić rajskie zadowolnienie, nigdy jednak nie wynagrodzi tęsknoty za krajem, za rodziną, za rodakami. Hiszpanja z całą siłą swoich powabów czarujących zastąpić nie mogła skromnéj lecz kochanéj Polski!

I pośród tych myśli, pośród marzeń, które tylko odgadywać pozwoliłem Izabelli, siedliśmy pod rozłożystym kasztanem. — Wkrótce siadł obok nas wysmukły, ogorzały przystojny *caballeros*, którego wzrok przenikliwy kilka razy w ciągu przechadzki spodkał się z moim.

Rozmawialiśmy z Izabellą po francuzku, nieznajomy poznawszy we mnie cudzoziemca, z całą grzecznością wydobył z kieszeni paczkę cygaretów, ofiarując je nam. Izabella zapaliła jedno; ja poszedłem za jej przykładem, zdziwiła mnie jednak ta osobliwsza grzeczność; lecz jak później poznałem Hiszpanie mają ten zwyczaj, iż ktokolwiek jesteś, częstują cię z wszelką poufałością.

Najlichszy biedak bez cermonii siada obok największego *granda*, ofiaruje mu lub żąda od niego cygara, i bez wymagań, bez ubliżenia sobie okazuje się być przejęty tą sław ną zasadą hiszpańską: „My tu wszyzcy w naszym kraju jesteśmy panami.“

Dla tego też lud tamtejszy nie wiele się troszczy o wolność polityczną, nie wymaga wcale mieć na swym sztandarze tego okazałego i wzniosłego słowa *„równość“*; wiadomo im doskonale, czują to dobrze i wierzą, że wszyscy ludzie są sobie równi w obliczu Boga, w obliczu prawa.

Nieznajomy odezwał się do Izabelli; rozmowa toczyła się o rzeczach obojętnych, lecz o ile pojmowałem zmierzała do tego, aby ich zbliżyć mogła do siebie. Zwyczajną to jest rzeczą, że jeżli na spacerze jaka dama siedzi obok ciebie, a w twej myśli powstaje chęć jéj poznania, poprostu zaczynasz z nią rozmawiać, odbierasz odpowiedź, rozmowa się ożywia, znajomość się zawiązuje, zawsze jednak Hiszpanki, choć nie posiadają obszernych wiadomości, umieją zachować takt sobie właściwy.

Wkrótce wstaliśmy; pożegnawszy naszego towarzysza, odprowadziłem Izabellę ku domowi, uważałem jednak, iż ów nas nie opuścił z oka, aż przy wejściu do bramy domu.

Za powrotem, gdy już wszyscy rozstali się na spoczynek, długo rozmawiałem z Izabellą przez okno. W Hiszpanji, skoro odgrywasz rolę narzeczonego, wolno ci dzień cały spędzić obok kochanki, możesz wieczorem rozmawiać z nią u okna jej sypialni, wolno ci ją pocałować w rękę, w czoło w usta; lecz daléj ani kroku, inaczéj spotkać by cię mogła gorżka nieprzyjemność.

Ja też zwyczajów krajowych nie przekraczałem; rozmawialiśmy długo: o ubiegłych chwilach, o lubém wczoraj, o jutrze, a nawet o dalszéj przyszłości. Słodki pocałunek zakończył rozmowę, i rozstaliśmy się.

Wśród marzeń, obraz Izabelli tkwił ciągle w mej myśli; a widok nieznajomego, jak złowrogie widmo, mieszał się śwród najmilszych złudzeń snu nocnego.

Już tydzień przeszło bawiłem w Kadyksie na łonie miłego pokoju familji, która prawie stała się moją, w nadziei nawet że może na przyszłość stanę się istotnym członkiem téjże. — Nieprzewidziany jednak wypadek zakłócił moje stosunki, przyjaźń i miłość. — Pragnałem widzieć taniec hiszpański, owe sławne: *cachucha, fandango, gitana, boleros*, które niby potępione przez towarzystwo andaluzyjskie, jednak licznie uczęszczane bywa przez damy tamtejsze.

(Dokończenie nastąpi.)

Korespondencja literacka.

Jestto waszą powinnością dziennikarską, wprowadzić na widownię krytyki wszystkie nowsze utwory naszego pięknego pismiennictwa.

Co do pism tego rodzaju wyszłych w przeciągu r. 1848 i 1849 uprzedził was w tém *Przegląd poznański.* Nie wasza w tém wina, jak wiadomo; a choćbyście nawet sami spóźnienia tego winę mieli, to tém większy byłby obowiązek oświadczyć, ażali na wyrokach i zdaniach *Przeglądu* poprzestajecie *i je za swoje przyjmujecie* lub *nie.*

W pierwszym razie musielibyście w waszém piśmie krytyki *Przeglądu poznańskiego* przedrukowywać, dla tej prostej przyczyny, że tego pisma u nas dostać nie można; w drugim razie uwolnieni bylibyście od konieczności plagiatu i byłoby wam zostawione pole własnego sądu lub nawet polemiki z *Przeglądem.*

Gdyście tedy mnie uczynili jednym z waszych obowiązkowych krytyków, cieszę się mocno, iż nie jestem w położeniu stać się „auctor intellectualis” plagiatu z waszej strony i wdać się z pismem tak znakomitej literackiej wartości, jak jest *Przegląd poznański,* w polemikę.

By to jednak czynić porządnie, umyśliłem rozpocząć od krytyki *Przeglądu* samego, a przychodząc z kolei na krytykę którą on daje, polemizować z nim trochę.

Przegląd poznański jest, ile mi wiadomo, bo nie wszystkie pisma polskie dostajemy tu do rąk, najcelniejszém pismem perjodyczném. Zawiera on rozprawy z wszelkich gałęzi umiejętności, jak *Bilioteka warszawska,* a prócz tego i to, czego w tejże niema: Politykę.

Przegląd jest poczęści pismem politycznem i ma nietylko swoją barwę polityczną, ale nawet religijną. Jest on narodowo-zachowawczy (konserwatywny) a oraz papiezko-katolicki. Te dwie zasady są podług zdania *Przeglądu* w ścisłym związku ze sobą: uważa on bowiem katolicyzm za jedną z podstaw narodowości polskiej.

Tego wszystkiego ani ganić lub chwalić, ani w ogóle krytykować nie myślimy, musimy bowiem w tym punkcie być neutralni. Dla tego rozpraw politycznych lub religijnych *Przeglądu,* ani też jego poglądów na bieżącą politykę nie możemy brać pod krytykę.

Pierwszy zeszyt *Przeglądu* zawiera na czele rozbiór i krytykę *Dziejów Rzeczypospolitej Polskiej.* Jestto rzecz, powiedziałbym, niemal nienawistna, krytykować krytykę, a jednak nie możemy, ani nawet nie powinniśmy tego unikać, bo zaiste krytyka jest tak istotnym żywiołem piśmiennictwa, że komu tylko na wzroście i doskonaleniu się tegoż zależy, temu tryb jakim ów kunszt ważny, u nas wykonują, bynajmniej obojętnym być niepowinien.

Otóż musimy zarzucić *Przeglądowi,* że, jakkolwiek nader wyrozumiały i głęboki jest w krytyce, to jednak popada w błąd jednostronności, a raczej uprzedzenia systematycznego. Będąc jakeśmy wyrzej rzekli, narodowo-konserwatywnym i katolicko-papiezkim, nie może ukryć niechęci swojej ku wszystkiemu, co nie tchnie tym duchem, nie może się obejść bez polemiki, gdziekolwiek zdanie przeciwne jego zasadom się przebija.

Pominąwszy więc, że już przez to samo przekracza zakres krytyki, gani często co się jego zdaniu sprzeciwia, jedynie dla tego, a chwali słabe utwory dla tego bo są w duchu *Przeglądu* pisane.

Tak wkrytyce dziejów rzeczypospolitej słusznie p. Moraczewskiemu poczytuje za zaletę, że nic bezwarunkowo nie uwielbia ani nie potępia. Słusznie wytyka autorowi potępienie wieku 18go jako nieumiejętne i niegodne historyka. Jednak dziwnym sposobem zarzuca p. Moraczewskiemu tém niekonsekwencją dla tego, bo podług zdania *Przeglądu,* autor jest najbliżej pokrewniony z 18tym, t. j. jak z dalszego wykładu poznajemy, jest demokratą, antikatolikiem i antichrześcianinem.

Być może — i nam się zdaje, że tak jest; ztąd wszelako niewynika, aby autor jako dziejopisarz miał pokrewnego sobie ducha wszędzie i w jakiejkolwiek postaci objawiającego się pochwalać, przeciwnego zaś ganić; naszém zdaniem dziejopisarz niepowinien nic chwalić i nic ganić; czyn dziejowy opisany z prawdą i rzetelnie, sam się chwali, sam się potępia.

Z tém uprzedzeniem sądząc, że autor jest demokratą z zasady i „że nie życzyłby dla Polski samowładnej monarchii" (str. 29), wymaga aby p. Moraczewski *dla wynikłości* uważał uszczuplenie władzy monarchicznej w *średnim* wieku, z tego samego stanowiska, z jakiego je dziś uważamy, i plącze „dzisiejsze konstytucyjne teorje" z wynikłościami średniowiecznego feudalizmu. *Przegląd* upatruje „nie postęp ale cofanie się w tém," że autor w braku przejścia od oligarchji feudalistycznej *przez absolutną monarchię* do dzisiejszych form konstytucyjnych upatruje przyczynę upadku Polski.

To zdanie bardzo panujące, nie wchodzimy w to czy słuszne czyli nie, nie sprzeciwia się bynajmniej wyznaniu politycznemu autora; bo autor może być demokratą dla czasów dzisiejszych, a dla tego przecież być tego zdania, że za króla Ludwika absolutyzm był dla Polski zbawiennym. My tu właśnie upatrujemy daleko większą wolność od uprzedzenia w autorze niż w krytyku.

Dalej czyni krytyk z tego błąd niezmierny autorowi, że w pisaniu dziejów Polski nie wychodzi ze zasad pewnej religijnej wiary, to jest: że nie jest jednostronny. Pomimo wszelkiej słuszności i głębokości z jaką *Przegląd* osądza dzieje Moraczewskiego pod względem jego stanowiska dziejopisarskiego, stylu, artystycznego układu i erudycji, jest ta krytyka niezmiernie płytką w osądzeniu politycznej i religijnej barwy, czyli tego co bym nazwał dziejopisarską godnością.

Utrzymując, że autor jest antikatolikiem, a nawet antichrześcjaninem, chwali jego bezstronne uznanie ważności rzymsko-katolickiego chrześcjaństwa dla Polski; ale nie może powściągnąć niemal chorobliwej tkliwości na uwagi autora o samowładztwie i przywłaszczeniach duchowieństwa. Dla krytyka duchowieństwo miało jeszcze za mało przewagi wpływu w społeczności europejskiej. A potem (hajże na Soplice) rzuca anatema na czysty rozum.

Podług zdania krytyka wynikle sądząc, że nie może nikt pisać dziejów tylko *rzymski katolik!*

Gdyśmy się wzięli do krytyki, więc przeskakujemy przez następujące po tym rozbiorze artykuły aż na koniec zeszytu, gdzie zawiera się pod rubryką „Wiadomości bieżące" sprawozdanie o kilku dziełkach jako: *O sposobach zastąpienia ręcznej pańszczyzny* przez Juljana Jaraczewskiego (Poznań u Żupańskiego 1849). Dzieło napisane dla Galicji. *Przegląd* zarzuca temu dziełku materjalizm, jednakże tchnie ono *„chęcią pogodzenia interesu robotnika z interesem właściciela,* co rzeczywiście na uszanowanie zasługuje."

Uczucia i widzenie Polki w r. 1846. (Kraków 1848). *Przegląd* znalazł tam piękne obrazy i słowa obok braku spokoju i siły myślenia — my znaleźliśmy tam prócz tego, jeszcze niektóre pocieszne niby-poetyczne androny.

Artykuł „Rzeczy włoskie” jest ważny i bardzo dokładnie ułożony, podług gazet, kawałek naszych dzisiejszych dziejów; ten artykuł również jak Uwagi nad ustawą organiczną Ligi Polskiej i rubryka „Polityka” nie mogą wchodzić w obecny zakres naszego pisma.

Poezja. Konstantego Gaszyńskiego pięć sonetów i K. Z. Hymn sprawiedliwych. Wiersze te (wyjąwszy piąty sonet, którego przedmiot uzacnia) są to rymowane polityczne i pietystyczne „loca communia” jakiemi się nasza poetyczna atmosfera od kilku lat zagęściła.

O poematach: „Do mistrzów słowa” „Ostatni” i „Dzień dzisiejszy,” których treść i wyjątki ten zeszyt *Przeglądu* zawiera, poźniej osobno mówić będziemy.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Wciągu zeszłego miesiąca przedstawiono na teatrze naszym kilka zupełnie nowych sztuk, które mają pretensję należyć do celniejszych.

Taką jest przedstawiony podobno jeszcze w końcu Grudnia *Edyp*, tragedia *p. Humnickiego.*

Nieszczęśliwy był pomysł autora obrać sobie za przedmiot Edypa po Sofoklesie; już po klasykach francuzkich powtarzać w dramacie Edypa byłoby dość nieszczęśliwym pomysłem, ale po Sofoklesie którego dzieło stérczy, że tak powiem, jak niezniszczona czasem wielkość w dziejach poezji, pisać Edypa, był *bardzo* nieszczęśliwy *koncept.* Na domiar tego nieszczęścia przyszło autorowi na myśl poprawiać Sofoklesa i wciągnąć w swój dramat romans, arcyniezgrabnie splątany, między „panią“ Jokastą a „księciem“ Edypem. Tak zrobiła się z klasycznego przedmiotu średniowieczna romaneska, że niepowiem romatyczna karykatura. Bo czyż to nie jest karykatura, żeby Edyp który służy jako szeregowiec we wojskach królowéj Jokasty zakochawszy się w niej, brzez zabicie smoka zasługiwał sobie na rękę swojej królowéj.

Królowa chwilę się waha oddać prostemu żołnierzowi swoją rękę, ale nareszcie — *decyduje się.*

Gdyby to byli średniowieczni rycerze, toby podobna Donkiszoterja prędzej uszła.

Hurkot który się odzywał przy zabiciu smoka, niewiemy do dziś dnia czy to był grzmot na niebie, czy może we wnętrznościach smoka, w skutku zatrutego placka, którym go pan Edyp po kawalersku częstował. — Jednak w tem zapewnie nie jest wina autora, tylko złej maszynerji naszego teatru.

Aby jednak coś przecież pochwalić w tej sztuce, musimy przyznać, że pięknym pisana jest stylem, choć trochę rozwlekłym i zawiera dosyć pięknych frazesów. —

Co się tycze gry, to najlepiej grała Jokasta, z tego jednak niewynika żeby grała bardzo dobrze. Trudno w prawdzie grać dobrze złą rolę, i tak nie możemy o to artystkę winić, żeśmy raczej widzieli przed sobą damę z czasów *Ludwika XIV.* niż grecką bohaterkę; bo autor każe jej ciągle wpadać w afekt, nawet spazmów dostawać; słowem autor nam przedstawia nowożytną kobietę.

W grze *Edypa* nie raziły nas żadne wady, ale też i żadne szczególne nieuderzały zalety; a wpadnięcie przy końcu na scenę po omacku z niby zaślepionymi oczyma zepsuło i to średnie wrażenie, które artysta zrobił na nas. *Edypa* rola była deklamowana, to ją czyniło nudną, ale było to w duchu autora. — Jednak prawdziwy artysta powinien rolę podnieść, jeżeli ją autor zepsuł, przez zastosowanie się raczéj do historycznego charakteru niż do autora.

O dwóch podrzędnych rolach chyba dla tego wspomnieć wypada, aby powiedzieć, że były źle grane. Brat Jokasty przybrał zupełnie minę jakiegoś „chevalier de la renaissance;” a niedosyć, że cała sztuka jest ułożona stylem perukowym i robronowym i na deklamacyę wyrachowana, to artysta zepsuł i to przez złą deklamację.

Cóż nareszcie powiedzieć o kapłanie, który raczéj przypominał naszego poczciwego organistę, niż greckiego kapłana!

Tego samego wieczora wystąpił syn Nestora naszéj sceny t. j. p. Mieczysław Kamiński, w Giermkach króla Jana. Jestto historyczna krotochwila I. U. Niemcewicza, lepsza nierównie niż wszystkie tuzinkowe krotochwile Scribego et Cº albo płaczliwe komedje niektórych niemieckich dramatyków, — o possach niechce nawet mówić. W téj sztuczce grali najcelniejsi nasi artyści, i podziwiać musieliśmy giętkość talentu p. Smochowskiego i Nowakowskiego, którzy role bardzo rozmaitego rodzaju z równą grają doskonałością.

Żałujemy żeśmy p. Kamińskiego niewidzieli we większéj roli, bo jeżeli ma wielki talent, to tu nie miał sposobności rozwinąć go, tyle jednak pewną, że gdyby nie miał talentu, toby i tę nieznaczącą rolę był zepsuł.

W téj sztuczce musimy wszystkim artystom naszym przyznać, że bardzo odpowiednio swoim rolom grali i miłe na nas uczynili wrażenie.

Panu Kamińskiemu zarzucilibiśmy układ trochę za nadto wymuszony, choć to właśnie dowodzi, że pracuje nad sobą.

Widzieliśmy w tym miesiącu także: „Okno na pierwszym piętrze” Korzeniowskiego.

Dwie główne role w téj sztuce: męża Alfreda i żony Amalii były odegrane z różnym bardzo talentem.

Pani Sułkowskiej gra ma w téj roli niezmiernie wiele prawdy. Autor napisał sztukę, która nam przedstawia powsze-

dnie słabości ludzkie; bo nawet w scenach gdzie charaktery się przedstawiają w swojej największéj świetności, nic innego nie widzimy, jak męża w którym zwycięża troska o przyszłość dzieci i miłość do żony, którój zupełnie potępić nie może, jako oczyszczonéj ze zbrodni, nad chwilową chęcią zemszczenia się. Tak samo dla żony nie zbyt trudny jest wybór między życiem pokutnicy przy matce, którą zdaje się więcéj bać, niż kochać, a życiem przy mężu upokorzającém w prawdzie, lecz osłodzoném jego szlachetnością i miłością dziecka.

Ta sztuka tyle zalety mająca, że bezprzesadnie i z prawdą przedstawia dość powszednie charaktery zyskuje niezmiernie przez grę pani Sułkowskiej.

Niemożemy tego powiedzieć o artyście, który przedstawiał męża. Nieznać było po nim przejęcia się rolą, dla tego ani gorycz, ani miłość, ani żal niemalowały się w jego grze stosownie do roli. Jedną scenę jednak odegrał artysta z prawdą; t. j. kiedy z gniewem wymaga od kapitana, aby skoczył oknem.

Bardzo dobrze była odegraną rola starego służącego, ale zato rola kapitana prawie zupełnie bez życia.

Pomijamy kilka drobnych i znajomych krotochwilów w których zauważaliśmy talent pani Radzyńskiej i Lecha Nowakowskiego do ról karykaturowych, panny Szuszkiewicz do ról młodziuchnych, lekkomyślnych dziewcząt.

Przystępujemy do dramatu Korzeniowskiego pod tytułem: Mnich. Treść téj sztuki stanowi tragiczny koniec Bolesława śmiałego (P. Smochowski); który po zabiciu ś. Stanisława, znajduje jako nieznany pokutnik schronienie w klasztorze odludnym w Osieku. Jego unikanie ludzi, opryskliwość, szorstkość w obcowaniu z témi i zadumczywość wzbudza ciekawość jednego z mnichów.

Ta posuwa się do wyższego jeszcze stopnia, gdy jeden ze wspólników zbrodni króla, przybywa za jego śladem do klasztoru, szukając go. Opowiadanie tego rycerza (pan Rejmers) obudza podejrzenie, iż ów nieznajomy pokutnik jest Bolesławem śmiałym, nie udaje się jednak sprowadzić tego rycerza razem z owym pokutnikiem, aby jeden drugiego mógł poznać. Podczas gdy rycerz jeszcze pozostaje w klasztorze, przybywa wysłannik papierza ogłaszający największą klątwę przeciw Bolesławowi, i zakazujący dać mu przytułek. Rycerz szukający Bolesława, zdybuje go pierwszy raz w gronie mnichów zebranych dla słuchania klątwy, niewiedząc jednak nic o téjże, zdradza przez swoje powitanie pełne największej radości i czci Bolesława. Poczém tenże opuszcza klasztor i chroni się do odludnej jaskini odtrąciwszy swego przyjaciela od siebie jako zdrajcę.

Rycerz odszukuje pod przewodnictwem młodego mnicha, który nie mógł w sobie stłumić uwielbienia dla Bolesława tegoż w jaskini i błaga o przebaczenie.

Jestto jedna z najsilniejszych scen dramatu. Bolesław nie chce przebaczyć, ale duch ś. Stanisława (pan Rudkiewicz) przypominający sposobem pojawienia się ducha w Hamlecie, rozkazuje Bolesławowi, aby przebaczył. Poczém tenże przebacza.

Bolesław pragnie pojednać się z kościołem, i jestto także bardzo dramatyczna scena, kiedy on przed kościołem słyszy śpiew mnichów, pragnie tam wejść, ale klątwa, swoją niewidzialną władzą nad duszą jego ciążącą nie dozwala mu przekroczyć progów świętego przybytku.

Jawne jest, że gdy kościół zdołał tak owładnąć duszę Bolesława, żadna ludzka siła nie może go wybawić, konieczne jest zatem i wynikłe nadnaturalne rozwiązanie dramatu. Duch ś. Stanisława wprowadza wyklętego za sobą do świątyni wśród modlących się w kościele mnichów aż przed ołtarz, i unosząc się sam z tego świata uniósł ze sobą wybawioną duszę, a ciało martwe zostawił ziemi.

Cały dramat tak pięknie pomyślany, nie jest podług nas przeprowadzony stosownie do swego ogromnego przedmiotu. Ludzie w nim nikną przed wielkością wpływów nadludzkich. I chociaż uznajemy szczytność pomysłu, że te wpływy zwyciężają cały ogrom ludzkiej potęgi w średniowiecznem władztwie kościoła, to przecież taki czyn, gdzie walczą ze sobą niewidzialne potęgi, nie zapełnia dostatecznie treści dramatu. W dramacie potrzeba pojedynczych osobistych wielkości, które działają, a takich tu niema — jeden Bolesław; ale i on jest więcej biernym niż dzielnym.

Zdaje nam się, jeżeli mamy sobie pozwolić spierać się z autorem o sposób ułożenia, że daleko większym by się okazał Bolesław, gdyby nie czekał zdrady swego przyjaciela, ale sam się zdradzając, samodzielnie ściągnął na siebie cały ciężar klątwy.

Słowem, nieznaleźliśmy w dramacie charakteru wielkiego, a szkoda tego, bo wielki jest pomysł i mnóstwo pięknych sytuacji. Co do gry musimy wyznać, że jeden pan Smochowski zdawał się mieć odpowiednią sobie rolę, i grał ją z właściwą sobie doskonałością — chociaż może trochę więcej dumy a mniej trwożliwości byłoby bardziej odpowiadało charakterowi Bolesława.

F. Nowicki.

Wydawca: ***Karol Wild.*** Redaktor: ***Karol Widmann.***

Drukiem prassy pospiesznej **A. B. Winiarza we Lwowie**, przy ulicy krakowskiej p. l. 77.